

Z EKRAŃ STOLICY

STANISŁAW GRZELECKI

Dyrygenci

Być może kiedyś, gdy jakiś historyk polskiego filmu, w upartym poszukiwaniu formuły systematyzującej twórczość Andrzeja Wajdy, będzie chciał tę twórczość określić jednym zdaniem, powie, iż w swej głównej części była to twórczość sprzeciwiająca się manipulowaniu człowiekiem. I zapewne znajdzie wiele filmów Wajdy dla poparcia swojej tezy. A wśród nich także film „Dyrygent”.

Jest to dzieło skromne, gdy idzie o tematyczne założenie scenariusza, a także dramaturgię, dzieło, które odwołuje się przede wszystkim do refleksji widza, sugerując mu rozszerzenie znaczeń, wynikających dosłownie z opowiedzianej w filmie historyjki. Jest ona prościutka. Oto Adam, młody dyrygent symfonicznej orkiestry w prowincjonalnym mieście, kierowany godną uznania ambicją, pragnie tę orkiestrę dźwignąć na wysoki poziom, sięgając po trudny repertuar. Do owego miasta przybywa sławotowej sławy dyrygent, który właśnie stąd rozpoczął drogę uwieńczoną najwyższymi sukcesami. I właśnie z orkiestrą Adama pragnie wykonać Piątą Symfonię Beethovena.

Dwaj dyrygenci, dwie indywidualności, dwa systemy. I różny stosunek do zespołu. Ten pierwszy dyrygent, wybitny artysta, służy przede wszystkim muzyce. Dla niego koncert jest sumą przeżycia utworu przez każdego z członków zespołu, od

pierwszego skrzypka po skromnego perkusistę. On swą obecnością organizuje i jednoczy te przeżycia w harmonijną całość. I orkiestra wyczuwa tę jego postawę, więc daje z siebie wszystko, aby dyrygent mógł to wspólne dzieło — wykonanie utworu — przedstawić na koncercie w formie najlepszej z możliwych do osiągnięcia.

I drugi dyrygent, ambitny lecz pozbawiony tego stosunku do muzyki, co wielki mistrz. To właściwie nie dyrygent, ale trener, który chce osiągnąć możliwie najlepszy wynik. Orkiestra to dla niego zespół nie indywidualności ale ludzi, którzy opanowali posługiwanie się instrumentami niby członkowie sportowej ekipy poszczególnie konkurencje. Nie muzyka jest ważna, lecz wynik — udany koncert. A dla niego, trenera, to szansa otwierająca drogę sukcesu. Więc stąd płyną i metody pracy. Próby orkiestry przypominają trening. Członkowie orkiestry muszą, niby zawodnicy w zespole, podporządkować się całkowicie koncepcji trenera, zapomnieć o swojej indywidualności.

I pojawia się jeszcze jeden czynnik. Muzyka nie jest już celem jako źródło ludzkich przeżyć. Staje się jednym z elementów tego, co nazywa się upowszechnianiem kultury i co łatwo może stać się celem samym w sobie. Ze stolicy przybywa ważna osoba, która pragnie z muzyki — Beethoven to czy nie Beethoven, to mniej ważne — uczynić dowód, „pozycję” w bilansie szerszych poczynań... Poczucie godności i własnej wartości, niweczone metodami prowincjonalnego dyrygenta-trenera, a rozbudzone postawą gościa, wybitnego mistrza batuty, rodzi gwałtowny konflikt. Nikt nie chce być obiektem manipulacji.

„Dyrygent” Wajdy, drogą narzucających się skojarzeń każe myśleć o filmie „Próba orkiestry” Federico Felliniego. Zbliżony temat i podobna skromność w traktowaniu obecności w filmie muzyki. Lecz jakże różne przesłanie obu dzieł, inny klimat, inna wymowa. U Felliniego — pokonanie odruchów buntu, przełamanie budzących się objawów godności ludzi, zwycięstwo konformizmu i — w istocie — terroru. U Wajdy bunt jest o tyle zwycięski, iż ludzie odzyskują swoją godność i swoją indywidualność. Przegrywa dyrygent-trener, ale odchodzi na zawsze, umiera ten, który w ludziach rozbudził ich poczucie godności i niezależności. Zwyciężyła muzyka, wartość niezniszczalna, nie poddająca się żadnym manipulacjom.

Jak wiadomo, film „Dyrygent” znalazł się wśród laureatów tegorocznego festiwalu w Berlinie Zachodnim dzięki nagrodzie za kreację Andrzeja Seweryna w roli dyrygenta Adama. Nie ma sensu dyskutować tego werdyktu. W filmie są trzy główne role: Johna Gielguda, gościnnie występującego wybitnego aktora angielskiego, polskiego pochodzenia, Krystyny Jandy jako żony Adama i właśnie Andrzeja Seweryna. Trzy różne kreacje. Gielgud — bardzo spokojny, jakby nieśmiały i — trudno się oprzeć temu wrażeniu — jakby nieco zafascynowany rzeczywistością kraju, z którego się wywodzi, a od którego dzieli go tak wiele. Krystyna Janda, nad podziw opanowana, tak inna niż ją pamiętamy choćby z „Człowieka z marmuru” i już przez to ciekawa. Andrzej Seweryn — sprawiający wrażenie jakby właśnie od koleżanki przejął nadmiar jej impulsywności, być może zbyt mało wycieniowanej.

A cały film — to film Andrzeja Wajdy. To znaczy dzieło, które niezależnie od formy, od tempa, od liczby nagromadzonych efektów, zmusza widza do uwagi, do pilnego szukania znaczeń, do refleksji.